

pochodząca z Francji, była nauczycielką. Dzieciństwo spędził na Wołyniu, gdzie jego ojciec pracował w folwarku Młynów, należącym do rodziny Chodkiewiczów. Uczył się w domu. W 1938 roku rozpoczął naukę w VI klasie tzw. ćwiczeniówki przy Liceum Krzemienieckim, a w 1939 zdał egzamin do tegoż Liceum. Po wybuchu II wojny światowej wyjechał z matką i siostrą Teresą Marią do Francji. Wysłany do schroniska polskiego na południu Francji, uczęszczał do polskiego Gimnazjum i Liceum im. Cypriana Norwida w Villard de Lans, gdzie w 1945 roku zdał maturę. Następnie podjął studia romanistyczne i polonistyczne na uniwersytecie w Lille. W czasie studiów działał w kole naukowym i publikował artykuły w prasie studenckiej.

„Matka moja jako osiemnastoletnia dziewczyna tuż po maturze przyjechała na Podole, gdzie przyjęła pracę guwernantki, aby w czasie wakacji zarobić sobie trochę pieniędzy – mówił Jerzy Lisowski w rozmowie z Krystyną Nastulanką dla „Polityki” 1972, nr 5. – Był rok 1914, wybuchła wojna, matka wyszła za mąż i została w Polsce. Ja urodziłem się wprawdzie w Paryżu, w czasie dwumiesięcznego pobytu matki u rodziny, ale potem znowu wróciliśmy do Polski i całe moje dzieciństwo upłynęło w kraju. Do drugiego roku życia mówiłem po francusku, ale w momencie, kiedy udało mi się wymówić poprawnie «r», przerzuciłem się zdecydowanie na polszczyznę. I to tak dalece, że gdy w 1940 r. wyjeżdżaliśmy z matką i siostrą do Francji, nie umiałem słowa po francusku. Uczyłem się więc tego języka niejako od początku, najpierw w podstawowej szkole francuskiej, a potem w gimnazjum polskim, gdzie jednakże język francuski traktowany był równorzędnie i stał na bardzo wysokim poziomie”.

Już sama ta polsko-francuska genealogia, z domieszką ukraińskości, musiała być dla Iwaszkiewicza nader atrakcyjna. Skamandryta postrzegał Lisowskiego jako kogoś bliskiego mu duchowo, z kim łączy go młodość spędzona na ukraińskiej ziemi, a kto potem zanurzył się w żywioł mowy

francuskiej, będąc zarazem najsilniej przywiązany do kultury polskiej. Z pewnością nie mniej pociągające były dla Iwaszkiewicza błyskotliwa inteligencja i męski urok młodego Lisowskiego, będącego po trosze ucieleśnieniem dwu marzeń pisarza: cieszyć się przyjaźnią człowieka, który miałby głęboko przyswojone różnorodne kody kulturowe; znaleźć taki punkt na mapie świata, który starczyłby za wszystkie inne.

Kto z czytelników *Dzienników* Jarosława Iwaszkiewicza nie wpada w irytację, gdy co kilka stron widzi narzekania autora, który goszcząc w Palermo chce być w Rzymie, dotarłszy do Rzymu marzy o Paryżu, bawiąc w Paryżu tęskni za Stawiskiem, a wróciwszy na Stawisko chce wyjechać do Palermo? To, co na pierwszy rzut oka wygląda na kapryśność pieszczocha losu, przy wnikliwszym oglądzie odsłania swoją mniej oczywistą stronę.

Podobno niemiecki filozof Hegel, czytając jakąkolwiek książkę, bolał nad tym, że czyta właśnie tę, gdyż tym samym nie może czytać wszystkich innych. Z kolei Don Juan, trzymając w objęciach kobietę, z żalem myślał o tych wszystkich, których nie może w tym momencie pieścić. Nienasylenie Hegla i Don Juana pokrewne jest głodowi wrażeń Fausta, pragnącego wciąż nowych przygód i tak pewnego swojej nienasyconej żądzy doznań, która miała go uchronić przed zawołaniem: „Chwilo trwaj! Jesteś tak piękna!”, że podpisał cyrograf. Może więc owo pragnienie Iwaszkiewicza, by wciąż zmieniać miejsce pobytu, nie jest przejawem fanaberii, nie zawiera też w sobie sprzecznych chęci, lecz stanowi dążenie do osiągnięcia pełni. Właśnie słowo „pełnia” jest kluczem do zrozumienia zarówno osobowości Jarosława Iwaszkiewicza, jak i jego decyzji, moralności, przyjaźni, jego życia i twórczości. Dążenie do pełni oznacza w tym wypadku pragnienie bycia każdym i wszędzie jednocześnie, oznacza chęć bycia Brutusem, który zabija Cezara, i chęć bycia Cezarem zabijanym przez Brutusa. W granicach pełni te pragnienia nie wykluczają się nawzajem, nie są antynomiczne.

Już w pierwszym liście Iwaszkiewicza do Lisowskiego można znaleźć ową typową dla autora *Dionizji* pozorną sprzeczność, która dowodzi pełni niedbającej o zgodność logiczną: „Bardzo Cię przepraszam za krzyżyk nakreślony na twym czole na Gare de l’Est, ale mam zwyczaj obejmować tym gestem ludzi specjalnie mi drogich i złączonych ze mną specjalnie mocną nicią. [...] Siedzę w Pradze, nudzę się jak pies w studni i przenoszę się myślą bez przerwy do Paryża. Proponują mi czeskie papierosy, mówiąc, że są lepsze od francuskich, ale ja zapalam gauloise’y i dym ich tak od razu przenosi mnie na Bld St. Michel lub na ten most z Châtelet do Cité, gdzie doznałem nagle olśnienia szczęścia, rzecz prawie nieprawdopodobna w tych czasach – i w ogóle, ponieważ w szczęście nie wierzę! Ale miałem taki faustowski moment, wtedy, kiedy powiedziałem do Ciebie: patrz, czyż to nie impresjoniści! I nagle chciałem zawołać «*verweile*» – chwila była tak krótka, a tak zupełnie niezapomniana”.

Co to za człowiek, który kreśli na czymś boski znak krzyża i jednocześnie gotów jest krzyknąć za Faustem: „*Verweile doch! du bist so schön!*” – oddając się tym samym w ręce diabła? Co to za człowiek, który mieści w sobie dyspozycję do świętości i potępienia? W stawiskim archiwum są setki listów od różnych osób, z których można by ułożyć arcydługą listę dziękczynców, ślących słowa wdzięczności za rozpędzenie życiowych trosk, za pomoc w zdobyciu lekarstw, za uratowanie życia. Nigdy Iwaszkiewicz o świadczonej ludziom pomocy nie mówił publicznie, cała o tym wiedza ukryta jest w listach. A zarazem na podstawie innych listów można by ułożyć długi rejestr grzechów autora *Zygryda*. We współwystępowaniu w ludzkim charakterze zalet i wad nie ma rzecz jasna niczego niezwykłego; tu zdumiewa liczba oraz ranga sprzeczności – jakby kodeks etyczny Iwaszkiewicza odbiegał od powszechnie przyjętego, a wyznawana przezeń religia pochodziła z innej epoki lub z innego miejsca.